№ 45.

Warszawa, dnia 7 Listopada. 1863 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

USTĘP

z życia

ELŻBIETY DRUŻBACKIEJ.

Dalszy ciąg.

Gwarne rozmowy i poufałe szepty we wszystkich zakątkach sali, przerwał nagle odgłos trąby z baszty zamkowéj, zapowiadający przybycie oczekiwanego gościa, Marszałek J. W. Kasztelaaowéj roztworzył główne podwoje: Najjaśniejszy Król Jegomość! uroczystym zawołał głosem: a pani krakowska powstawszy ze swego siedzenia, w towarzystwie przedniejszych dygnitarzy, poprzedzona światłem w ciężkich srebrnych świecznikach, niesioném przez dwunastu dworzan, wyszła na spotkanie Jego Królewskiéj Mości. Stanisław tymczasem, który zaledwie na dzień jeden korzystając z pobytu swego w sąsiednim Lwowie, czcigodnéj matronie umyślił szczerą okazać attencję i który w tym celu, z szczupłym tylko orszakiem i bez monarszego przepychu, zajechał był przed zamek Brzeżański, przyjęty tu przez straż honorową i dwudziestu czterech paziów w barwie Sieniawskich, z których każdy niósł w ręku zapaloną pochodnię, szybkim krokiem podążył na szerokie. marmurowe schody, w połowie których spotkał się ze schodzącą na dół kasztelanową. Orszaki obojga rozstąpiły się, a król nie dopuszczając zamierzonego przez panią zamku zgięcia kolan, dworno podał jéj rękę i bacznie podpierając, poprowadził napowrot do sali. Wasza Miłość, rzekł, zasmucasz nas zbytnią uprzejmością; młodszemu do Niéj pierwszemu, nie Jéj do nas, pośpieszyć się godzi.

— „Niesłusznie, odparła pani Sieniawska, Wasza Królewska Mość odbierać mi chcesz jedyną sposobność, jaką miałam do okazania méj najserdeczniejszéj wdzięczności za tę nieocenioną łaskę i niezasłużony zaszczyt, który mnie spotyka. Przyjm, N. Panie, pobłażliwie tę wdowią gościnę; wszystko co tu się znajduje, jest Twoje i pokornie ściele się pod Twe królewskie stopy.

— Wasza Miłość raczéj niech przyjmie te szcze-

re życzenia, z wyznaniem których chętnie tu pośpieszyliśmy. Oby Bóg tak je spełnił, jak nam z serca pochodzą!

Wdzięczny i pełen uszanowania głęboki ukłon był odpowiedzią kasztelanowéj na tę grzeczność królewską. Doszli oni tymczasem do środka sali, gdzie znajdował się dywan zajęty poprzednio przez panią krakowską. Nie śmiem, rzekła, prosić Waszéj Królewskiéj Mości o spoczęcie tutaj; po dłuższéj przejażdżce wygodniejszy zapewne zda się spoczynek. Brat mój, pan wojewoda Łęczycki, jeśli N. Panie pozwolić raczysz, będzie miał szczęście towarzyszyć Mu do Jego apartamentów.

— Niechże nas Bóg zachowa, łaskawa Gospodyni nasza, odrzekł wesoło król Stanisław, iżbyśmy czas nasz tak krótko mając tu wymierzony, nad konieczną potrzebę pozbawiali się przyjemności spędzenia go z Waszą Miłością. Owszem, jeżeli nas J.W. Pani uraczyć zechcesz, przedstawisz nas dostojnym damom, których tak znakomite widzimy tu grono, a z których zbyt szczupła tylko liczba jest nam znaną z osoby i z imienia. Z J.J. W.W. Senatorami, czcigodnymi urzędnikami i innymi panami Bracią, z którymi nas dotąd jeszcze przypadek nie zbliżył, potém zapewne J.W. Wojewoda Łęczycki poznajomieuia nas odmówić nie raczy.

Kasztelanowa, wynurzywszy znów swoją wdzięczność, za tę nową, zaszczytniejszą jeszcze uprzejmość króla, zaczęła mu z kolei, podług starszeństwa wieku, pozycji i urodzenia, znakomitsze z obecnych przedstawiać damy, z których Stanisław każdą to grzeczném witał słowem, to wypytywał o nieobecnych członków rodziny, których stosunki widocznie, jak najdokładniéj były mu znane. Gdy już się odbyto z dostojnikami, król rzucił okiem na śliczne grono dziewic, które ciekawością zdjęte, podczas ceremonialnéj prezentacji kwiecisty w około niego uformowały wieniec. Wzrok jego zatrzymał się na Elżbiecie.

— Jeśli nas pamięć nie myli, rzekł, widzimy tu Wielkopolankę, Jmć Pannę sędziankę Bydgoską, Elżbietę Kowalską, którą wraz z jéj matką nieboszczką poznaliśmy przed czterema laty u naszéj swiekry, JW. Krzysztofowéj Opalińskiéj. Lubo sami rodem ze Lwowa, przecież dawna nasza godność Poznańska serce nasze zawsze ciągnie ku Wielkopolsce, a Jmć Panna Kowalska, wtenczas jeszcze pół dziecko, tak nam dziwnie pięknie od téj pory jakoś wyrosła i wykwitła, że tém miléj dawną w niéj witamy znajomość. Ale, ale! dodał po chwili namysłu, będzie tu zapewne ktoś jeszcze którego widok panny sędzianki Bydgoskiéj równie serdecznie, a może i serdeczniéj jeszcze ucieszy; niedawno téż podobno pan skarbnik Żydaczewski, zostający teraz właściwie w osobistych usługach królowéj, dopominał się u niéj tak natarczywie o pozwolenie towarzyszenia nam do Brzeżan!

Któż opisze uczucia, jakie podczas téj lubo dobrotiwéj lecz srodze żartobliwéj przemowy królewskiéj, miotały sercem biednéj Elżbiety? Wprawdzie wiedziała i ona, że pan Szymon Drużbacki, który o sześć lat od niéj starszy, chował się był na dworze możnéj rodziny Opalińskich i który osierociałą naprzód po ojcu, potém i po matce dzieciną zawsze serdecznie się opiekował, że ten pan Szymon po wyniesieniu wojewody poznańskiego na tron Polski i Litwy przystał był do jego królewskiego dworu; że mianowicie w czasie odbytéj przed dwoma dopiero tygodniami koronacji, zaszczycony został skarbnikostwem Żydaczewskiém i przywiązany do bliskich usług królowéj Katarzyny z Opalińskich Leszczyńskiéj; wprawdzie domyślała się, że w czasie zapowiedzianéj bytności monarszéj, i jego także, od lat przeszło dwóch niewidzianego, ujrzy i powita w Brzeżanach; wprawdzie o nim to, którego poetyczna jéj główka malowała sobie już w barwach cale idealnego rycerstwa, już oddanego dworskim rozkoszom i nie pamiętającego towarzyszki dawnych lat dziecinnych; o nim to właśnie marzyła, kiedy przed przybyciem królewskiém wraz z rówieśniczkami odbierała rumieniąc się hołdy młodzieży: ale czyż mogła spodziewać się, że król wié o téj najtajniejszéj jéj serca skłonności, że ją przed całym światem wypowié, że nagle wystawioną zostanie na wszystkich spojrzenia, albo nawet mniéj więcéj złośliwe szepty i szyderstwa?

Pani Kasztelanowa natychmiast dostrzegła pomieszanie Elżbiety, któréj najprzód cała krew trysła do lica, potém znów w mgnieniu oka ścisnęła się w sercu, zostawiając na twarzy bladość śmiertelną. Zacna pani przyszła w pomoc utrapionéj dziewczynie.

— Jmć Panna Sędzianka Bydgoska, rzekła, mówiła mi nieraz o Jmć panu Drużbackim, w którym, za nim do mnie przybyła, czułego i troskliwego miała opiekuna. Ja sama będę rada podziękować mu za tę opiekę, którą nad małą moją Elżbietką rozciągał, skoro teraz w orszaku Waszéj Królewskiéj Mości, los przyjazny przywiódł go w moje progi.

— Panie skarbniku Żydaczewski! zawołał król, przewodząc oczyma po szlachcie, stojącéj za nim w pełnéj uszanowania odległości. J.W. pani krakowska łaskawie pożąda was przywitać; prosimy Waszmości bliżéj!

Na te słowa z gęstego grona urzędników i dwo-

rzan wyruszyła się wysmukła postać młodzieńca, którego widok od pierwszéj zaraz chwili wszystkich serca zniewalał ku sobie. Twarz wązka i kształtna, znamionująca moc duszy w parze z dziwną jakąś, prawie dziecięcą łagodnością, postawa szlachetna, spokojna w ruchach powaga, wszystko to od razu wpadać musiało w oczy widzów, przychylnie już wdzięczném całości wrażeniem usposobionych. Pan Szymon Drużbacki przystąpił do Kasztelanowéj i z czcią zginając kolano, ucałował podaną sobie rękę. Potém wkoło ukłonił się stojącym kilkoma rzędami damom, a w ostatku, zatrzymawszy przez chwilę spojrzenie na okrytéj znowu purpurowym rumieńcem Elżbiecie.

— J.W. Pani! rzekł, słyszałem rodzicielskie Jéj słowa dla Jmć Panny Sędzianki Bydgoskiéj, którą od dawnych lat jako siostrę miłować nawykłem. Dziś braterski ten niegdyś affekt tłumię w sobie, gdy już nie dziécię, ale widzę przed sobą hożą i wyrosłą pod J.W. Kasztelanowéj opiekuńczemi skrzydły dziewicę. Jestem pewien, że dar wieszczego słowa, którym od dzieciństwa Wszechmocność Bozka natchnęła piękną duszę sędzianki Bydgoskiéj, głównie zwrócony bywa na wyśpiewanie godnych pochwał téj polskiéj cnoty i świątobliwości, jakiéj J.W. Pani dla całéj ojczyzny jesteś i chlubą i wzorem.

— Jakiéjże to rzeczy ciekawéj nauczacie nas Waszmość, panie Skarbniku? zapytał z żywością król Stanisław. Mielibyśmy tu istotnie przed sobą polską Saffonę czy Korynnę?

— Nic przeczę, Najjaśniejszy Panie, że mojéj Elżbietce wdzięczne nieraz rymy się kleją; nie sądzę jednak, iżby one mogły być godne odezwać się w obec Waszéj Królewskiéj Mości. Racz więc miłościwy królu, zwolnić ją teraz od obowiązku dłuższego assystowania dzisiejszéj zabawie; widzę, że bojaźliwa dziecina się zmienia i lękam się, by tyle niespodzianego zaszczytu i wzruszeń nie wpłynęły szkodliwie na wątłe jéj zdrowie.

— Waszéj Miłości przystoi tu rozkazywać, odparł król, i serdecznie bolejemy, jeżeliśmy nieoględném jakiém słowem zrazili szlachetną skromność nadobnéj Jmć panny Elżbiety. Ale rymów dlatego opuszczać jéj nie możemy: daru Bożego pod korzec stawiać nie godzi się i dlatego prosimy najuprzejmiéj, by nam za łaskawém wstawieniem się J.W. Pani wolno było choć jutro w porannéj godzinie odczytać aby jeden utwór Muzy Brzeżańskiéj. Wyznajemy, że rymy poetów ojczystych, jak zapamiętać możemy, najmilszą nam zawsze bywały roskoszą. (d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Przeglądając przed kilkoma dniami, tytuły najświeższych publikacji paryzkich, natrafiłam na jedną, w któréj nie tyle zastanowił mnie napis, ile zamieszczona pod nim wiadomość, że egzemplarz, który właśnie trzymałem w ręku, pachnący jeszcze wilgotną wonią drukarni, jest *siedemnastą* edycją dzieła, którego pierwsze wydanie wyszło w 1851 roku. Szesnaście edycji rozprzedanych w dwunastu latach! musi to być w swoim rodzaju arcydzieło, i westchnąwszy myślałem sobie, kiedy to nasza literatura doczeka się, nie wiem już, czy takich arcydzieł, czy takiego przynajmniéj odbytu!

Treść téj książki na pierwszy rzut oka wcale nie pozorna, tytuł jéj wcale nie ponętny. Treść jéj przeznaczona jest dla kobiet, a tytuł brzmi: *Domek wiejski* (La maison rustique), przez panią *Millet Robinet.*

Zachęcony wszakże ową wiadomością o siedemnastéj edycji w mowie będącéj książeczki, zacząłem rozcinać kartkę po kartce, a rozczytawszy się w niéj pojąłem snadno powód jéj powodzenia, przynoszący zaszczyt czytającéj publiczności francuzkiéj. Proste to bowiem i nieuczone dziełko więcéj wpłynąć może na umoralnienie niewiasty, niż najwymowniejsze morały: podaje bowiem jedyne, nieomylne lekarstwo przeciw podszeptom złego ducha, uczy pracować, wskazuje jak uniknąć nudy, która jest podobno najniebezpieczniejszym wrogiem domowego ogniska.

Kiedy kto badał przyczyny swoich wad i zdrożności, musiał dojść do téj prawdy, że na sto grzechów powszednich dziewięćdziesiąt dziewięć popełnił z nudów. W naszych czasach nuda jest niezawodnie najstraszliwszą chorobą ludzkości; podlegają jéj równie mężczyzni, jak kobiety, ale piękna połowa społeczeństwa mocniéj jeszcze od nas czuje nacisk téj plagi. Skutkiem temperamentu, skutkiem swéj natury, nadto częstokroć skutkiem wadliwego wychowania, kobiety są ofiarami przeznaczonemi na pastwę nudów. Bóg tylko jeden wié (i mąż czasami), jak okropne spustoszenia w całéj ich istocie sprawia ta fatalna choroba.

Na usunięcie takich usposobień, na otrzeźwienie ducha i ciała ze zgubnego omdlenia, jest tylko jedno lekarstwo: *praca*, środek radykalny na wszystkie choroby umysłowe, począwszy od obłąkania, a skończywszy na téj niemocy bez nazwy, która zwykle tak wielką ilość kobiet ciemięży; praca, nic innego, i tę autorka *Domu wiejskiego* płci pięknéj zaleca.

Przewiduję, że niejedna z Czytelniczek obruszy się na taką receptę, uważając ją za środek bezskuteczny, daremnie przez siebie na odpędzenie nudów używany; nie ma bowiem na świecie kobiety, którejby się nie zdawało, że pracuje. Pracą nazywają one haftowanie i wyszywanie niepotrzebnych rupieci, pracą czytanie romansów, pracą mazanie papieru farbą, ołówkiem lub piórem, pracą brząkanie po fortepianie, pracą całodzienne kręcenie się około szczegółów gospodarskich, które przy porządnéj organizacyi w godzinę załatwić by można. I jestto w istocie także praca; ale są dwa rodzaje pracy: pożyteczna i niepożyteczna. Druga jest tylko zabawką palców, środkiem zabicia czasu, lub potrzebą gdérania; pierwsza matką wszystkiego co dobre i piękne, zasługą, zdrowiem i zbawieniem człowieka.

Autorka *Domu wiejskiego* utrzymuje, że kobiety mające byt zapewniony wyłącznie poświęcają się drugiéj, a wcale nie zajmują się pierwszą, może dlatego, że *nie umieją* pracować; przychodzi więc w pomoc niewiastom dobréj woli i wskazuje im rozmaite gałęzie pracy pożytecznéj. A wyznać należy, że i u nas, pomijając bezczynne dylettantki i marzycielki, nawet owe tak zwane czynne i zabiegliwe gospodynie nie zawsze znają całą wartość czasu, lub użyć go umieją. Dla jednych, pracować jestto bezustannie się krzątać i hałasować. Te są wiecznie na nogach, pod pozorem interesów biegają albo jeżdżą ud rana do nocy, a pod pozorem porządku przewracają dom cały do góry nogami. Dla drugich, praca jestto znów ciągłe ślęczenie nad igłą i naprawianie jakichś starych gałganów, które, zasadziwszy przez ten czas jeden zagon kapusty, możnaby zastąpić nową bielizną.

Oba te tak sprzeczne typy gospodyń mają ze sobą to wspólnego, że jak jedne, tak i drugie uważają się za ofiary związku małżeńskiego, za męczennice, na strudzonych barkach których spoczywa całe brzemię domowych kłopotów. Każda z nich uważa się za istotę stworzoną do wyższych celów i gardzi powszednią pracą, do któréj ją zawistne losy zaprzęgły. To też niedawnego jeszcze czasu niepodobna było u nas wyperswadować większéj liczbie pań wiejskich, że żadna inna nauka nie jest ważniejsza, ani wyższa od umiejętności dobrego wychowywania dzieci, skrzętnego zajmowania się domem, ziemią i ludźmi, których winny być naturalnemi opiekunkami; a lubo dziś Bogu chwała! postęp ku dobremu w téj mierze widoczny, przecież nie zawadzi może obecna wzmianka, że takie zasady propaguje pani Millet Robinet w swojéj pełnéj rozsądku książeczce, którą zatém Czytelniczkom *Tygodnika* z całego serca zalecać poważam się.

Paryż, d. 30 Października.

*

ICH I NASZE.

Są na Libanie gaje cedrowe,
Pod włoskiem niebem rosną cytryny,
My mamy smukłe sosny borowe,
I słodki owoc swojskiéj drzewiny;
Nasze to dęby po morzach płyną,
Choć obce wieją z nich pawilony...
Mile pod wonną spocząć cytryną,
Lecz cieniem darzy i buk zielony.

* * *

Są w innych ziemiach olbrzymie góry,
Ich szczyty wiecznym śniegiem zwieńczone,
Miło z nich patrzéć w nieba lazury
Lub stroić czoło w lodów koronę,
Nam, choć wyniosłe mamy Karpaty,
Milsze szerokie, bujne równiny,
I milsze wonne zioła i kwiaty,
Nad spromienionych śniegów rubiny.

* * *

U innych w łonie bogatéj ziemi
Wiją się złota obfite żyły,
I my bogaci, bo nam jasnemi
Sól i żelazo iskrzą się bryły.
Pług, prowadzony dłonią wieśniaka,
Dostatkiem chleba wszystkich uracza,
Toż go nie zbraknie w torbie żebraka,
Ni na wystawnym stole bogacza.

* * *

U nas pług stanął przy Piasta tronie,
Na znak, że w pługu mamy swe mienie,
Że szczęście nasze w obfitym plonie,
Ziarn rozrzuconych na rozkrzewienie...
A jeśli w nasze domowe progi,
Zawita pielgrzym albo ubogi,
Nie mamy złota, lecz z naszéj roli
Starczy dla gościa chleba i soli.

* * *

Innych narodów dziejowe karty,
Rozbrzmiały sławą olbrzymie czyny,
Lecz i my mamy chlubne wawrzyny,
Mamy w historji szlak niezatarty;
Rzadkie nam były spoczynku chwile,
A oręż wiecznie szczękał u pasa,
Nasza Cecora, to Termopile.
Żółkiewski godzien Leonidasa!..

* * *

Nam Maratonem, Chocimskie wały,
A Milcijadem, Chodkiewicz dzielny,
Co nam wywalczył dzień wielkiéj chwały,
A sobie męztwa laur nieśmiertelny,
Machabeuszem — Czarniecki mężny,
Przed którym drżały szeregi wroga,
Mattatyaszem, mnich nieorężny,
Broniący domu Rodzicy Boga.

* * *

Innym narodom, brzmiącemi chóry,
Minnesingery i trubadury
Spiewają pieśni, nasi pieśniarze,
Czucia serc wzniosłych niosą nam w darze;

* * *

Niech innym szumią cedrowe gaje,
Niech pomarańcze poją ich wonią,
Myśmy szczęśliwi, kiedy nam staje
Cienia pod gruszą albo jabłonią.
A mamy wieszczów.... oni to plemię
I jego czyny uaureolą.
Kochajmyż bracia! tę drogą ziemię,
Która nas darzy chlebem i zolą!

Adam Maszewski.

Obyczaje, religja, polityczna i towarzyska organizacja starożytnego Meksyku.

(Dalszy ciąg).

Historja starożytna Meksyku składa się z dwóch okresów. Pierwszy, w którym kraj należał do Tolteków, ciągnie się od r. 700 do 1200, drugi od r. 1200 do podboju przez Korteza, i stanowi panowanie Azteków, którzy jeszcze dziś w czystéj i mieszanéj rasie stanowią podstawę ludności meksykańskiéj.

Zkąd właściwie wzięły się te dwa plemiona, nikt dziś stanowczo objaśnić nie potrafi, można tylko przypuścić, na mocy tragedji i rozumowania, że Toltekowie byli plemieniem przybyłym z Azji wschodniéj, a Aztekowie zjawili się od strony wschodniéj, od Europy. Najpewniéj byli to mieszkańcy Skandynawji burzą i prądami morskiemi zapędzeni do Ameryki.

Toltekowie byli plemieniem łagodném ale bardzo czynnem i przedsiebierczém, cywilizacja która się późniéj tak pomyślnie rozwinęła od nich bierze początek. Dlaczego i kiedy skończyło się panowanie Tolteków, dla czego opuścili tak piękną krainę, tego nikt z pewnością nie oznaczy.

Drugi lud Azteków innéj był zupełnie natury. Ponury i surowy aż do okrucieństwa, posiadał ducha panowania i podbojów i silnie urządził władzę swoją na obszernym przestworze kraju. Aztekowie nie zniszczyli do szczętu instytucji Tolteków, lecz zmienili je i przydali inne. Ztąd to w cywilizacji Meksykanów, znaleziono niepojętą mięszaninę łagodności i barbarzyństwa; wdzięk połączony z okropnemi i obmierzłemi obyczajami, hodowlą kwiatów, obrzędy wytworne szlachetne, ofiary z ludzi i ludożerstwo.

Państwo meksykańskie składało się ze związku trzech królestw zamieszkałych przez ludy jednego rodu. Najpotężniejsze było państwo Azteków, i to wywierało nad dwoma drugiemi niezaprzeczoną przewagę. Organizacja polityczna była wojskowa i teokratyczna, naród jednak nie był podzielony na kasty. Szlachty było kilka stopni, ale dostojeństwa nie przechodziły na synów prawem dziedzictwa, a nawet syn zmarłego monarchy, jeżeli był za młody, rządy powierzano stryjowi. Szlachcic zajmował się przemysłem, bez uszczerbku swéj godności, samo szlachectwo nie wystarczało nikomu na utrzymanie życia, a każdy co się odznaczył na wojnie, otrzymywał szlachectwo. Ustanowiony był przytém pewien znak zaszczytny, podobny do orderów rycerskich, mający własne godła i przywileje. Chcąc go otrzymać, trzeba było przechodzić przez niższy jakiś stopień, przed uzyskaniem którego, musiał każdy, nie wyłączając rodziny cesarskiéj, chodzić w grubéj odzieży utkanéj z włókien aloesu. Wszyscy bez różnicy urodzenia, mieli prawo do tych rycerskich orderów.

Pomimo jednak tak pomyślnego rozwoju cywilizacji, największa część ludności była pogrążoną w ciemnocie i poniżeniu. Wynikało to z zupełnego braku zwierząt do pomocy w pracy ludzkiéj. Meksykanie wszystkie prace wykonywali rękoma, a ciężary przenosili na swoim grzbiecie, gdyż nie było nawet dróg dla wozów. Duch ludzki nie zdoła się oprzéć takiemu poniżeniu i pod nawałem znojów fizycznych traci pojętność i uczucie. Starożytni mówili, że gdy człowiek popadnie w niewolę, Jowisz odbiera mu połowę duszy. W tych żałośnych słowach kryła się prawda, ciężkie bowiem prace niewolników tępiły ich umysł i pozbawiały aż do pewnego stopnia świętego tchnienia bóstwa.

Niewola choć istniała u Meksykanów, ale była tylko osobista i nie spadała na potomstwo. Niewolnik zachowywał własność i rodzinę, a stawał

się nim na mocy wyroku w sprawach karnych za nieopłacenie podatku, lub przez dobrowolną sprzedaż. Prawa opiekowały się własnością z największą troskliwością, a prawo karne było niezmiernie surowe, i za każde niemal przestępstwo, za pożądanie, kradzież, naruszenie znaków granicznych na polu, pijaństwo. a nawet za zmarnowanie ojcowskiego majątku, karano śmiercią.

Rząd był samowładny, lecz łagodzony rozmaitemi przepisami, potęgą arystokracji i duchowieństwa. Poddani nie zostawali w takiém poniżeniu, jak w Azji i uległość nie niszczyła osobistéj godności człowieka. Pewne obrzędy wpajały w duszę władców, ich święte obowiązki względem poddanych. Do monarchy przemawiano w następujący sposób:

— „Bóg wyrządził ci wielką łaskę, stawiając cię na miejscu swojém, a więc powinieneś Go czcić i Jemu służyć. Nabądź odwagi, nie wątp że ten potężny pan, który nałożył na ciebie tak ciężkie obowiazki, dopomoże ci do utrzymania korony chwały, jeżeli nie ulegniesz wpływowi złych ludzi."

Przyszłego następcę tronu wprowadzano do oddzielnéj części świątyni, gdzie musiał zostawać na pokucie przez rok cały lub dwa lata, Siedział na gołéj ziemi przez dzień cały, a sypiał na macie. W nocy w pznaczonych godzinach chodził do kościoła palić kadzidło, a w pierwszych czterech dniach spał ledwie kilka godzin. Przy nim stali strażnicy, którzy gdy zasypiał kłuli go po nogach kolcami, mówiąc:

— „Obudź się! nie powinieneś spać, ale czuwać nad dobrem twoich poddanych. Nie na to obejmujesz władzę, żebyś gnuśnie spoczywał. Sen powinien odbiegać z oczu twoich, masz je trzymać otworem i czuwać nad twoim ludem."

Na jak wysokim stopniu była polityczna i towarzyska organizacja Azteków, to najlepiéj wyjaśnia zdanie Korteza w liście do Karola V. „Posłuszeństwem dla monarchy, powiada w nim, i trybem życia, lud ten prawie podobny jest do Hiszpanów, i tyle jest u nich porządku co w Hiszpanji. Jeżeli zastanowimy się, że ten lud jest barbarzyńskim, (?) pozbawionym wiadomości o Bogu i wszelkich stosunków z innemi krajami, tém bardziéj dziwić się powinniśmy ich mądréj administracji."

Komentując to zdanie, możnaby śmiało zapytać, kto tu bardziéj zasługuje na miano barbarzyńców? Czy Meksykanie rządzący się w podobny sposób jak to opisaliśmy, czy Hiszpanie, co przyszli nieproszeni i pod pokrywką nauki Ewangelicznéj. wszystkie instytucje zniszczyli, i kraj cały przyprowadsili do nędzy i upadku.

Obyczaje Meksykanów nie były rozwiązłe. Prócz naczelników którzy mieli po kilka kobiet, każdy miał tylko jedną żonę. Małżeństwo obchodzono uroczyście, rozwody następowały tylko w pewnych wypadkach, a pokątne miłostki karano śmiercią, od czego nawet rodzina królewska nie była wyłączona. Społeczne stanowisko kobiet zbliżało się do położenia kobiet w Europie. Nie zamykano ich w haremach, nie kaleczono im nóg jak w Chinach, chodziły z odkrytą twarzą, bywały na uroczystościach i biesiadach. Ile możności uwalniano je od ciężkich robót, były nawet kapłanki chociaż usługę główną spełniali sami kapłani.

Meksykanie wierzyli w Boga najwyższego, którego zwali Bogiem niewidzialnym, niecielesnym, doskonałością i czystością, pod którego skrzydłami znajdujemy spoczynek i najbezpieczniejszą ochronę. Pod tym Bogiem najwyższym, było trzynaście wielkich bóstw i więcéj jak dwieście mniejszych, a każde miało dzień poświęcony dla siebie i odbierały cześć właściwą. Wiele ich podań widocznie pochodzi z Biblji.

Było u nich wspomnienie o matce wszystkich ludzi, przy któréj w malowidłach zawsze miescili węża. Owa niewiasta była matką dwojga bliźniąt przypominających Kaina i Abla. Inne podanie mówi o powszechnym potopie, z którego jedna tylko rodzina ocalała: o piramidzie nakształt wieży babilońskiéj, którą duma ludzka wzniosła a gniew boży obalił. Dostrzeżono także ślady idei o grzechu pierworodnym, o chrzcie który jest jego oczyszczeniem, o spowiedzi i eucharystji. Ród ludzki uważano jako zesłany na ziemię dla wycierpienia kary i dlatego w modlitwach swoich błagali miłosierdzia boskiego. Przy urodzinach dziecięcia, rodzice witając go mówili.

— Przyszedłeś tu żebyś cierpiał, cierp więc i bądź cierpliwym.

Chrzest ich polegał na obmywaniu, mieli obrzęd spowiedzi, rozgrzeszania, lecz spowiadali się raz tylko w życiu a więc najpóźniéj jak tylko było można, dopełniali obrzędu podobnego do sakramentu Ciała i Krwi Pańskiéj, przy którym kapłani rozdawali kawałki ciasta z kukurydzy, które pożywano, padając na kolana i z tém przekonaniem, że to jest ciało bóstwa.

Nadto wierzyli w raj i piekło, cierpienia zaś potępionych nie były materjalne lecz moralne. Najbardziéj jednak zdziwiło Hiszpanów, że u tych ludów bałwochwalczych, krzyż był czci przedmiotem. Na jednym z nadbrzeży znaleźli Hiszpanie krzyż z marmuru białego uwieńczony koroną złotą. Krajowcy składający mu cześć, mówili, że

umarł na nim ktoś taki, który jest piękniejszy i jaśniejszy od słońca.

W modlitwach wyrażali się: żyj w zgodzie ze wszystkiemi, z pokorą znoś krzywdy, a Bogu który widzi wszystko, zdaj zemstę swoją. Przy końcu zaś spowiedzi kapłan mówił: nakarm głodnego, odziéj obnażonych, chociażbyś przez to największe poniósł ofiary. Ciało bowiem nieszczęśliwych jest twojém ciałem; są to bliźni we wszystkiem do ciebie podobni

(d. c. n.)



Wywiązując się z przyrzeczenia danego w zaprzeszłym numerze naszego pisma, powiemy dziś parę słów o salopach futrzanych. Widzieliśmy właśnie kilka przygotowanych wierzchów w magazynie panien Kuhnke, i te opiszemy szczegółowo.

Najpiękniejsza ze wszystkich salopa z ciężkiéj popeliny irlandzkiéj, w grube prążki, miała formę obszernego paletota, wkoło obszyta była grubym sznurem szmuklerskim. Rękawy ścięte do łokcia, szerokie w pasie, zwężone u ręki, podbite były futrem od ramion do łokcia, poniżéj zaś materją, gdyż manszonik dostatecznie zabezpiecza ręce od zimna. Wzdłuż przodów od szyi do stanu, szła podszyta spodem listewka, która spinała się na guziki.

Inna salopa z wyrobu wełnianego *Drap de Biaritz* z tyłu fałdowana do karczka, przody miała gładkie, rękawy szerokie wiszące pod temi zaś drugie wązkie, podbite lekkiém futrem Tak przody jak rękawy, obłożone były pliską aksamitną, szeroką na dwa palce.

Trzecia salopa z popeliny wełnianéj; przeznaczona do zużytego cokolwiek futra, miała formę paletotową, rękawy ścinane z aksamitnym mankietem. Zamiast futrzanego kołnierza, dany był aksamitny z wyłożonemi klapkami, które się zakładały mocno jedna na drugą, i spinały z boku na pętlicę i guzik szmuklerski.

Uważaliśmy nakoniec dla młodéj panienki paletot do futra wcinany do figury, z rypsu wełnianego, w bardzo dobrym gatunku. Przód spinał się na trzy grube pętlice i baryłki, kieszonki i mankiety, przybrane były pasmanterją. Kołnierzyk mały z perskich baranków czarnych, ładnie dopełniał całości.

Powiedzmy teraz słówko o zimowych kapeluszach, które się już ukazywać poczęły w magazynach naszych. Wszystkie w ogólności, mają czuby nierównie mniejsze jak w roku zeszłym, boki u nich zawsze mocno ścinane.

Widzieliśmy w magazynie pani Włodkowskiéj kilka zupełnie świeżych modelów, oraz kilka kapeluszy odrobionych na tenże sam wzór, różniących się tylko od paryzkich, nierównie dostępniejszą ceną. Opiszemy je tu z kolei.

Kapelusz aksamitny czarny, wzdłuż ronda aż do główki nagarnirowana podwójnie koronką, tworząca jakby grzebień, przytwierdzona z jednéj strony aksamitnym rulonem, na tym rulonie rzęd lawowych guzików. Pod spodem pukle aksamitne, przepinane takiemiż guzikami. Boki nagarnirowane białą blondynką. Karczek klarowny biały, na nim czarna koronka.

Kapelusz aksamitny, z takimże samym karczkiem. Rondo ogarnirowane wkoło ruszą koronkową, nad czołem w miejsce kwiatów lub pukli, dane czółko z białéj materji, pokryte czarną koronką, i wisiorkami z lawy, boki podgarnirowane biało. Na wierzchu ronda z pod koronki, wychodzi małe piórko kapłonie.

Trzeci kapelusz także aksamitny. Na wierzchu ronda, namarszczone buffy z aksamitu, otoczone wkoło wązkiém a długiém piórem strusiém, które tworzy jakby okrągły wianek. Pióro to przeciągnięte zprzodu pod rondem, stanowi zarazem podpięcie. Z boku wpięta egretka biała, boki nagarnirowane białą blondynką. Karczek aksamitny na białéj materji. Główka przybrana kokardą z barbki koronkowéj.

Czwarty kapelusz aksamitny *à la Marie Stuart*, rondo pokryte małą chusteczką aksamitną, z koronką do koła, w któréj ząb spuszcza się nad czoło. Karczek aksamitny marszczony naciągnięty na cienkie fiszbinki zwierzchu rozeta aksamitna, z pod niéj wychodzi pióro kapłonie.

Zwróciły także uwagę naszą, ładne kapelusiki okrągłe, tak aksamitne, jak kastorowe i kaszmirowe przybrane aksamitem. Najpiękniejszy z nich aksamitny, miał rondko podszyte białą materją, odwinięte po bokach. W środku zdobiła go wysoka kokarda z pukli aksamitnych, z za któréj wychodziła w górę biała egretka. Woalik obciągnięty płasko na twarzy ścięty w ząb, z tyłu zaś zakończony długiemi końcami, zgrabnie dopełniał

całości. Woalik ten z przodu obszyty był frendzelką sznelową.

Inny kapelusik także aksamitny z prostem rondkiem, opasany był szarfą z tiulu jedwabnego, przewiązaną z tyłu, ze spadającemi końcami. Z przodu zdobiły go fałdy aksamitne wysoko podniesione w górę, z po za których wychodziło piórko.

Podobał nam się także kapelusik kastorowy, opasany szeroko aksamitem, z tyłu wypuszczony był krótko koniec objęty frendzlą sznelową z paciorеczkami z lawy. Z przodu piórka strósie dopełniały ubrania. Cena tego kapelusza złp. 73 gr. 10. Kapelusików kaszmirowych, z aksamitem i piórkami dostanie od złp. 40 do 60.

Pan Włodkowski przysposobił na zimę znaczny zbiór ciepłych chustek *Himalaya* z długim włosem, po większéj części w popielatą i czarną kratę w cenie złp. 73 gr. 10.

Dziś do ubierania kapeluszy czarnych przyjęte zostały trzy kolory wstążek: szafirowy, bronzowy i fijołkowy. Kokardka nad czołem i szarfy stanowią całą odmianę. Woalka powinna być odpowiednia do koloru wstążki u kapelusza. Niektóre kapelusze, ubierają także aksamitem Solferino. Suknie widziemy w tych samych kolorach; nie wielkim nawet kosztem można mieć przefarbowaną suknię czarną na kolor brązowy u pana Kozłowskiego farbiarza na Krakowskiém-Przedmieściu, pod Numerem 389.

Rękawiczki na obecną porę najlepsze kortowe, których jedna para wystarczy na całą zimę.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia wełniana z kaftanikiem krótkim do stanu, wyszyta czarną sznelką i guziczkami aksamitnemi. Bluzka pod spód półbatystowa obciśnięta w stanie paskiem. Ubranie na głowę z koronki i wstążki.

Figura 2. Suknia jedwabna z falbaneczką fałdowaną. Stanik gładki bez bawetu na wierzchu opasany paskiem pocztyljońskim. Rękawy wpół otwarte. Paltot z czarnego sukna ozdobiony pasmanterją i frendzlą sznelową. Kapelusz czarny jedwabny przybrany koronką i kwiatami z czarnych piórek. Na podpięcie spada z wierzchu chusteczka koronkowa.

DONIESIENIA.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10 przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie egzemplarz za gr. 10.

—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr 3.

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3.

Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.

PIGUŁKI Z ROŚLIN PANA CAUVIN

Służą do czyszczenia krwi i pomagają do trawienia pokarmów. Wzmacniają kiszki i trzewia, leczą niestrawność, zamulenia żołądkowe nie osłabiając żadnego z organów ciała. Przy użyciu nie wymagają ani dyjety, ani osobnego napoju. Można je nabyć w Redakcji Tygodnika Mód po złp. 4 za pudełko z przepisem użycia ich w pięciu językach.



P. Alex. Głę. w Lublinie, żądanych przez Niego przedmiotów Redakcja u siebie nie posiada, można takowe nabyć u P.P. Sniechowskiego lub Kocha.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 45 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 7 Listopada 1863 roku.

JAN HALIFAX

POWIEŚĆ M.ss MULLOCH

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Odrzekłem z wahaniem, że Janek byłby prawdziwie szczęśliwy, gdyby mu dozwolono przychodzić do mnie w niedziele.

Co tobie w głowie! Nie znasz jak widzę młodych rzemieślników z Norton-Bury, każdyby z nich rad, kiedy ma chwilę czasu, włóczyć się po ulicach miasteczka.

— Janek nie taki jak drudzy, mój ojcze, on nie zna nikogo, i nie dba o nikogo, wyjąwszy o mnie. Pozwól mu tu przychodzić, błagam cię!

— Mniejsza o to, niechże sobie przychodzi!

Ojciec nie cofał nigdy słowa. Odtąd Janek przepędzał każdą niedzielę w domu naszym, gdzie uważany był za równego.

V.

Kilka lat przetoczyło się pomału. Niewiele zajmowały mnie wypadki zewnętrznego świata. Ojciec prowadził życie jednostajne, i regularne jak zegar. Janek pracował ze wszystkich sił, a ja niestety żyłem niedołężnie! Nie liczyłem nawet dni zbiegłych, nie poglądałem w przyszłość.

Aż nakoniec jednego poranku w Czerwcu obudziłem się z myślą, że mam dwadzieścia lat skończonych. Janek w ośmnastu latach wydawał się dorosłym mężczyzną.

Myślałem właśnie o wielkiéj różnicy między nami, rozmawiając z Jankiem w altanie.

— Dziwna rzecz Janku rzekłem, otóż mam lat dwadzieścia.

— I cóż stąd.

Poglądałem w nurt rzeki, który płynął ponuro i jednostajnie jak moje młode lata, Janek spytał mnie o czem dumam.

— O sobie, o swojém niedołęztwie!

Gorycz przepełniała mi serce, lecz Janek znał mnie oddawna. Znosił on cierpliwie mój chwilowy zły humor; wdzięczny mu byłem, bo czułem jak mnie kocha.

— Tyś młodszy o całe dwa lata, — rzekłem, a przerosłeś mnie głową.

— Wielcy ludzi byli za zwyczaj mali, odparł Janek, zacząwszy od Aleksandra Macedońskiego, aż do piérwszego konsula.

— O dajże mi pokój z tym ostatnim, przerwałem żywo. W tym jednym przedmiocie, byliśmy zawsze sprzeczni. On wielbił, ja zaś niecierpiałem Bonapartego.

— Daj pokój próżnym skargom na twe upośledzenie, rzekł Janek wesoło. Jesteś drobny, delikatny, ale nie kulejesz, jak dawniéj.

— Nie, dzięki Bogu!

— Nie masz wprawdzie zbytecznéj tuszy...

— Istny ze mnie szkielet!

— Rysy pociągłe, cera blada.

— Żółta, mój Janku, jak cytryna.

— Niechże będzie i żółta. Oczy za to wielkie pełne wyrazu; włosy czarne, którychby niejedna panna śmiało pozazdrościła.

— Jakiś ty odmienny mój Janku, rzekłem, ktoby powiedział, że masz dopiero lat ośmnaście. Wyglądasz zupełnie na mężczyznę.

— Cieszę się z tego, odrzekł. Komissant nadto młody nie budzi zaufania; ojciec twój jednak zupełnie mi ufa.

— Prawda, wczoraj mówił mi, że pozwala ci chętnie oddawać się naukom, skoro interesa garbarskie wcale na tém nie tracą.

— Wstydziłbym się gdyby inaczéj było. Chwała Bogu, że się już nie żali.

— Przeciwnie ma podobno zamiar posunąć cię na wyższy stopień od Ś-go Jana. Wolałbym jednak, żebyś się lepiéj wykierował, niż na komissanta garbarskiego.

Przerwała nam dalszą rozmowę Joanna, zbliżając się poważnym krokiem.

— Doktór Jessop, rzekła, jest u ojca pragnie się widzieć z tobą.

— Wstałem i poszedłem do pokoju. Nie będę opisywał téj lekarskiéj narady; powiem tylko, że od téj chwili ojciec stracił na zawsze nadzieję, abym po nim mógł objąć handlowe interessa; ja zaś przestałem marzyć, iż mu będę podporą i pociechą. Boleśne to było, to też nie mówilimy nigdy o tym przedmiocie.

Wróciłem do ogrodu, opowiedziałem Jankowi, co zaszło. Słuchał mnie pilnie, z ręką opartą na ramieniu mojem.

Po obiedzie, gdy się doktór oddalił, ojciec palił fajkę w milczeniu; ja z Jankiem, siedzieliśmy przy oknie. Uważałem, że ojciec poglądał znacząco na Janka.

Wieczór spokojnie upłynął. Dzwon wzywał na wieczorne modlitwy, a potem noc zapadła zwolna. Jasna gwiazda połyskiwała nad wieżą. Chodziliśmy późno w noc po ogrodzie.

— O jakżebym rad wiedział, rzekł Janek siadając na murawie, kiedy zmuszeni będziemy porzucić to ciche i spokojne życie,jakie tu prowadzimy, aby rozpocząć walkę na szerszéj widowni! Pytam nie raz, czy jesteśmy do niéj przygotowani jak potrzeba?

— O tobie nie wątpię, odrzekłem.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem, przerwał, dojakiego stopnia mógłbym się oprzeć złemu.

Wiele jest rzeczy nagannych, a jednak pociągających nas ku sobie. Jutro naprzykład, zamiast bazgrać w kantorze od osméj rano do szóstéj wieczór, czybym nie wolał uciec, pobujać swobodnie po świecie, poszaléć, a może i nie powrócić do garbarni.

— Jakto.... nigdy nie wrócić.

— O za daleko uniosła mnie wyobraźnia! Przebacz mi! zwalczyłem już pokusę!

— Wstał, uważałem, że był bardzo blady. Wyciągnął do mnie rękę, pomagając mi powstać. Zwróciliśmy się w milczeniu ku domowi.

Po wieczerzy, kiedy zegar wybił pół do dziesiątéj, Janek powstał chcąc odejść. Zblżył się do ojca mego, który siedział milcząc przy kominie.

— Dobranoc panu, powtórzył po dwa kroć, gdyż ojciec nie dosłyszał go zrazu.

— A dobranoc, mój chłopcze, odparł starzec, Czekaj Halifax, co masz jutro do roboty?

— Nic wielkiego, chyba, że skóry nadejdą z zagranicy. Wczoraj wieczór zamknąłem tygodniowy rachunek.

— Dobrze, jutro przejrzę książki, zobaczę jak się sprawiasz. Uwolniam cię więc na dzień jeden, możesz robić co się podoba.

Podziękowalimy serdecznie ojcu.

— Życzenie twoje spełnione, szepnąłem do Janka; możesz pobujać sobie po świecie.

Wywietrzało mi to już z głowy, jak mówił. Umyśliliśmy więc przepędzić ten dzień spokojnie, na wsi, pół milki od Norton-Bury.

Nazajutrz rano ruszyliśmy drogą ocienioną klonami, koło murów opactwa. Przybyliśmy do wioski zwanéj Winnicą, gdzie według tradycyi, Benedyktyni hodowali, niegdyś winne szczepy. Historja wspomina, że to miejsce było późniéj zrumienione krwią w wielu bitwach.... Niejeden stronnik białéj lub czerwonéj róży śpi tu snem wiecznym pod murawą, w cieniu dzikich jabłoni.

Położyliśmy się pod stogiem koniczyny, jakże cudne powietrze wpływało do płuc naszych, jak błoga cisza panowała do koła! Wieża opactwa świadczyła wymownie o przeszłości.

— Cóż Janku, czy jesteś rad z dnia dzisiejszego!

— O i bardzo! odrzekł.

I obaj dumaliśmy w milczeniu.

Około południa, zjedliśmy śniadanie. Wiesz co, rzekł Janek, że pole to trochę smutno wygląda, przejdziemy gdzie w inną stronę, jeśliś niebardzo zmęczony.

Zapewniłem go, że nie czuję zmęczenia; zdrowie moje w tym roku, znacznie się poprawiło.

W chwili gdyśmy opuszczali pole, spotkało nas dwóch ludzi. Trudno było odgadnąć ich wieku, i rodzaju zajęcia. Młodszy z nich oryginalnie wyglądał. Miał popielate pończochy z klinami, i świecące sprzączki u trzewików; stary frak jasno szafirowy i wytarte spodnie aksamitne dopełniały ubrania. Postać jego zręczna, poruszenia lekkie i łatwe, twarz okazywała szczerą wesołość.

— Racz mi pan powiedzieć, rzekł do Janka kłaniając się z powagą, czy daleko jeszcze do Coltham?

Dziesięć mil, panie, dyliżans będzie przechodził za trzy godziny.

— Może panowie zechcą podzielić z nami deser, a raczéj obiad, to mówiąc podał mi kilka rzadkwi.

Podziękowałem; Janek przyjął, grzeczniejszy ode mnie.

— Jadałem nieraz gorszy obiad, rzekł wesoło.

— Niejeden wielki człowiek poprzestawał na takim, odparł nieznajomy.

— Będziemy korzystać z objaśnienia panów i zaczekamy na dyliżans, dodał po chwili zdejmując kapelusz. Jestem Karol S. z kimże mam szczęście mówić.

— Zowię się Jan Halifax.

— A ja Tletcher.

— Czy z téj samej rodziny, co współzawodnik Szekspira znany Fineas Tletcher.

— Tak nie inaczéj, odparł Janek. Pan Karol zdjął z poszanowaniem kapelusz, i winszował mi świetnego pochodzenia.

— Ten człowiek zna widocznie świat, rzekł Janek, gdyśmy się rozłączyli, doprawdy zazdroszczę mu tego. Co myślisz o tym panu Karolu? Radbym go jeszcze spotkać.

— I ja także.

Tak rozmawiając zaszliśmy do miejsca, zwanego w okolicy krwawem błoniem. Tradycja przechowała pamięć bitwy stoczonéj tu za Ryszarda II-go. Wtéj chwili byłato właśnie pora kośby; cała ludność zbiegła się na łąkę; jedni cięli, drudzy grabili siano.

— Obierzmy lepiéj spokojniejszą ustroń, rzekłem do Janka, tu za wielki tłum ludzi. Ale patrzno, kto to stoi na wozie pełnym siana, po tamtéj stronie rzeczki?

— Alboż nie poznajesz błękitnego fraka? to pan Karol. Jak dziwnie rozkłada rękoma, co on tam robi?

I przeskoczywszy płot, Janek pobiegł na krwawe błonie. Poszedłem za nim zwolna.

Byłto wrzeczy saméj pan Karol. Stał z odkrytą głową, z urządzonéj na prędce trybuny przemawiał do kosiarzy.

Zbliżyliśmy, się aby dosłyszeć słowa. Nie było to kazanie, ale raczéj nauka moralna, wyrzeczona w bardzo przyzwoity sposób. Uderzyły mnie zdania Szekspirowskie, w tym naprzykład ustąpie z kupca Weneckiego.

„Miłosierdzie podwójném jest dobrodziejstwem, tak dla tego co daje, jak i dla tego co odbiera. To, najwyższa moc potęgi nieskończonéj." Wieśniacy słuchali z wielkim poszanowaniem. I my z Jankiem niemniéj byliśmy przejęci. Nigdy w życiu nie słyszelismy tak piękniéj mowy, oddanéj przytém z taką sztuką. W końcu rozrzewniwszy do łez słychaczy, mówca odwołał się do ich serce, błagając wsparcia dla nieszczęśliwego, który wstydzi się żebrać.

Każdy z obecnych wyciągnął rękę, pragnąc przyłożyć się do dobrego uczynku.

— Nie! nie! o moi przyjaciele wołał pan Karol widząc jak sztuki srebrne wpadają mu w kapelusz nie, nie! ja poprzestanę na owym szelążku biednéj wdowy; nie przyjmę od was więcéj jak po jednym pensie, i to od zamożniejszych. Dziękuję przyjacielu, niech Bóg błogosławi twego syna, dziękuję panienko, mam nadzieję że narzeczony twój rychło powróci z wojny; dziękuję wam wszystkim, i życzę szczęśliwego sianożęcia.

I stojąc no wozie z sianem, kłaniał się na wszystkie strony.

Wieśniacy, powrócili znów do roboty, zostawiwszy nam wolne miejsce. Wątpię, żeby nas widział pan Karol.

Kiedy zsiadł z woza, towarzysz jego parsknął śmiechem długo powstrzymywanym. Ale pan Karol był poważny.

— Poczciwe dusze, rzekł, ocierając czoło i oczy; niech mnie djabli porwą, jeśli im spłatam jeszcze takiego figla.

— A więc to była komedja, mój panie! rzekł Janek przystępując bliżéj ku niemu. Przykro mi to bardzo.

— I mnie także, odparł zagadniony, ale głód rzecz niemiła, konieczność wiele usprawiedliwia! Zeleży mi na tém wiele, żebym dziś dostał się do Coltham, a kto uszedł dwadzieścia mil piechotą nie łatwo mu zrobić jeszcze dziesięć, a potem odgrywać rolę króla Machbeta.

— Więc pan jesteś aktorem?

— Tak jest, do usług pańskich: „Biedny aktor, który szamocze się na scenie, póki trwa godzina przedstawienia, a potem znika z oczu!"

Te słowa z Machbeta, wyrzekł tak rzewnym głosem, w pięknych jego rysach odbijał taki wyraz znużenia, że był poniekąd uniewinniony w oczach naszych. Zresztą czytywaliśmy pilnie Szekspira, stąd pochodził nasz zapał do tragedji.

— Pan doskonale odegrałeś swoją rolę, rzekł Janek; wszyscy cię wzięli za ministra metodistów.

— A jednak, odrzekł pan Karol, nie wtrąciłem nigdzie teologicznego ustępu; ograniczyłem się na prostéj moralności. Nie zaprzeczysz pan tego.

Janek chwilę się zastanowił.

— Zapewne że nie, ale skąd panu przyszła ta myśl do głowy?

— Nienowy to pomysł moi panowie. Kilka lat temu w podobnych okolicznościach, tę samą komedję, odegrał tu John Philip, najznakomitszy artysta Angielskiego teatru.

Wymawiając nazwisko Philipa, zdjął kapelusz zgłębokiem poszanowaniem.

Słyszeliśmy nieraz o tym znakomitym artyście, słowa pana Karola wywierały dziwny urok na nas, szczególniéj też na Janka. Byłto człowiek z wiel-

kim talentem, przybierał na siebie rozmaite role, to udawał arystokratę, to uczonego, to eleganta, to ucznia z uniwersytetu i. t. p.

Kilka godzin zbiegło nam na rozmowie w cieni drzew po nad rzeką; p. Karol obmył twarz, i podzielił z nami podwieczorek.

— Teraz, rzekł, gotów jestem do nowych zapasów; która godzina panie Halifax?

Biedny Halifax nie miał zegarka, ale znał się doskonale na słońcu.

— Czwarta odpowiedział.

— Muszę więc odejść, chodźcie panowie ze mną. Zobaczycie sławną Siddons, w roli ledy Machbet. Cóż to za artystka! Sam Szekspir nie wymarzyłby nic doskonalszego.

Janek potrząsnął smutno głową, na znak odmowy; pan Karol nalegał zapewniając, że powrócimy do domu przed północą.

Co myślisz Fineas; rzekł Janek. Mam pieniądze przy sobie; tak mało doznajemy w życiu przyjemności! Możeby uwiadomić ojca twego, mów, jak sądzisz o tém?

Sam nie wiedziałem, co odpowiedzieć, i dziś jeszcze biorąc rzecz ze stanowiska ściśle moralnego, nie umiałbym osądzić, czy była w tém tak wielka zdrożność. Przyzwyczajony polegać na zdaniu Janka, zaufałem mu zupełnie.

Czekaliśmy przy drodze na dyliżans. Pan Karol nalegał coraz bardziéj. Janek nie mieszał się do rozmowy, chodził tylko zamyślony chróścianym płotem, obrywając suche gałązki.

— Kiedy się dyliżans ukazał na zakręcie, nie wiedziałem jeszcze, co postanowił.

Dano znak: stangret zatrzymał konie. Pan Karol podał nam rękę i wsiadł do powozu, zapłaciwszy dwa miejsca, garstką pensów, które otrzymał. Chwila mignęła, nim konduktor obliczył drobną monetę.

Janek tymczasem położył mi obie ręca na ramionach, i patrząc mi bystro w oczy, zapytał niespokojnie.

— Fineas, czyś ty zmęczony?

— Wcale nie.

— Czy możesz jechać do Cotham, czy ci to nie zaszkodzi?

— Bynajmniéj, odrzekłem.

— Ojciec twój nie odmówiłby nam tego. Pewien jestem, ze nie wróci z garbarni przed północą. I my niewiele co późniéj wrócimy, choćby mi przyszło dzwigać cię na plecach przez mil dziesięć. (*) No! siadajmy i jedźmy.

(*) Sześć mil Angielskich idzie na jednę polską.

— Brawo, zawołal Karol podając mi rękę z powozu.

Janek wsiadł za mną; uważałem jednak, że był milczący i zamyślony.

VI.

Lubo Norton-Bury leży tak blisko Coltham, byłem tam raz tylko w życiu, ale Janek znał dobrze miasto, gdyż ojciec wysyłał go nieraz z różnemi zleceniami. Gdy się dyliżans zatrzymał pod *złotem runem*, zdziwiłem się widząc jak Janek we wszystkiem umiał dać sobię radę, jak sługa hotelowy spełniał z uszanowaniem wszystkie jego rozkazy; położyłem się na sofie, on tymczasem chodził zamyślony po pokoju.

— Pan Karol pożegnał nas, mieliśmy jeszcze zobaczyć się w sali teatralnéj.

— Myślę, że ich sala mieści się w pustéj stodole, rzekł Janek poprawiając mi poduszkę pod głową. Zaprowadziłbym cię do Well-Walk, sławnéj przechadzki tutejszéj, ale potrzebujesz odpocząć.

Zgodziłem się na to chętnie, gdyż byłem rzeczywiście zmęczony.

— Zobaczysz, dodał, panią Siddons, o któréj tyleśmy czytali. Już nie młoda, ale ma być bardzo piękna, jak mówi pan Karol. Ukazała się po raz pierwszy w tymże samym teatrze przed dwódziesty laty. Ciekawym, czy twój ojciec ją widział.

— Mój ojciec? przerwałem, onby nie poszedł do teatru za żadne skarby świata.

— Jakto?

— Wiesz przecie, że jest kwakrem.

Janek pochwycił się za głowę.

— Uspokój się rzekłem, wszak ja nie należę do téj sekty. Jéj przepisy nie zobowiązują mnie też wcale.

Janek chodził znów po pokoju, lecz twarz jego coraz bardziéj smutniała.

— Gdyby szło tylko o mnie, zniósłbym wszystko; ale ty Fineasie może wolisz powrócić do domu.

Oparłem się stanowczo, zapewniając że nie sądzę, abyśmy popełnili cóś złego, i poty dowodziłem aż przekonałem go, że uwaga moja jest słuszną. W kilka minut potem, szliśmy wesoło ku teatrowi.

(d. c. n.)



№ 103.

TYGODNIK MÓD

Nro 45.